

BOHDAN

PETECKI



Bohdan Petecki

PROSTO W GWIAZDY

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-03-8

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1978

Projekt okładki: Filip Dolatowski

Spis rozdziałów

1. Nad jeziorem
2. Człowieku, czym mogę służyć?
3. Strzelaj do wszystkiego
4. Spisek
5. Ostrzeżenie specjalne
6. EB-5 nie odpowiada
7. Skoro już jesteście
8. Niziołek, kogo ty tam zamknąłeś?!
9. Naucz mnie tęsknić
10. Dyrektor Instytutu

1. Nad jeziorem

Trzciny zaszumiały i pochyliły ku sobie chude, pierzaste głowy, jakby jedna drugiej powtarzała najnowszą, pasjonującą plotkę. Pod płaskim dziobem motolotki przycumowanej do sąsiedniego pomostu, zapluskawała fala. Kajaki poruszyły się niecierpliwie.

Dwie twarze, przed chwilą patrzące z gładkiej jak lustro wody, zmarszczyły się, wykrzywiły, po czym zaczęły pływać jak na zepsutym telewizorze.

– Popatrz – Lidka oderwała rękę od pomostu i wycelowwała palec pionowo w dół – tam mamy teraz po dwieście lat. Okropność. Ja nigdy nie będę stara – zakończyła zuchwale.

Marek, zły na wiatr, za to, że zepsuł mu obraz w który wpatrywał się z zachłannym – by nie używać słowa: cielęcym – podziwem, odpowiedział bez zastanowienia:

– Tak. Ty się nie zestarzejesz...

W jego głosie brzmiała ta sama niezachwiana pewność, z jaką dopiero co sama Lidka oznajmiła światu, że zawsze zostanie młoda i będzie wyglądać tak, żeby chłopcy chcieli godzinami wpatrywać się bodaj w jej odbicie w wodzie. To znaczy tak, jak jej zdaniem powinna wyglądać dziewczyna, kiedy ma czternaście i... powiedzmy krótko: piętnasty rok życia. Nie popełnimy bowiem żadnej niedyskrecji stwierdzając od razu, że Lidka dobrze, a zdaniem niektórych nawet odrobinę zbyt dobrze, zdawała sobie sprawę z własnej urody. Ta chmurka na jej promiennym skądinąd charakterze była świetnie znana nie tylko jej rodzinie, lecz także przyjaciółom, a zwłaszcza przyjaciółkom. Innej chmurce na tymże charakterze zawdzięczała swój domowy przydomek „Lidka-Nie”. Jak łatwo się domysleć, decydującą rolę odegrało w tym wypadku osobliwe umiłowanie słówka „nie”, od którego nasza piękność zwykła zaczynać większość odpowiedzi na dobre rady, prośby i propozycje rodziców, a zwłaszcza starszego brata.

Dajmy jednak spokój chmurkom, Tym bardziej że niebo tego lipcowego przedpołudnia było czyste i błękitne jak okiem sięgnąć, a słońce prażyło tak, że nawet drewniany pomost parzył niby rozgrzana patelnia. Zresztą jeśliby chodziło akurat o urodę, to powiedzmy sobie szczerze, że nie jest zbyt trudno darować szczyptę zadowolenia z siebie osobie posiadającej puszyste, kasztanowe włosy o pięknym złotawym połysku, wielkie orzechowe oczy pod czarnymi brwiami, zgrabny choć troszeczkę wścibski nosek, brzoskwiniowe policzki i usta w kształcie wydłużonego serca. Dodajmy do tego długie, zgrabne nogi i rzęsy jak u... żyrafy. Ten ostatni podejrzaný komplement pochodził z ust samego profesora Kapicy, badacza kosmosu, słynnego tak ze swoich osiągnięć naukowych jak i ze swego roztargnienia. Nie ulegało wątpliwości, że profesorowi znowu coś się pomyliło i patrząc w oczy Lidki przypomniał sobie ni stąd ni zowąd, że żyrafy miewają długie szyje. Nauczony wieloletnim doświadczeniem Kapica umiał jednak z rzadką zręcznością ratować się z opresji, w jakie wpędzało go własne roztargnienie. Toteż kiedy Lidka, ochłoniwszy z wrażenia, spytała słodko – syczącym głosem: – dlaczego jak u żyrafy? – profesor bez chwili wahania odpowiedział:

– Bo żyrafy mają wyjątkowo piękne i długie rzęsy. Nie widziałaś?

Dziewczyna zagryzła usteczka i nic nie powiedziała.

– No właśnie! – ucieszył się Kapica. – To idź i zobacz...

Rzecz była raczej niewykonalna, bo po pierwsze przytoczona wyżej rozmowa odbywała się na Marsie, gdzie nie ma ani jednej żyrafy, a po drugie trudno dokładnie obejrzeć rzęsy stworzenia, które ma oczy na wysokości drugiego piętra. Ku nieopisanej ucieście przysłuchującej się tej wymianie zdań rodziniki, Lidka nie pisała więc słówkiem, a określenie „rzęsy jak u żyrafy” weszło na stałe do repertuaru rodzinnych porzekadeł w domu państwa Saperdów.

Odkładając na razie na bok roztargnienie profesora Kapicy i jego zdumiewający refleks, trzeba stwierdzić, że rzęsy Lidki były naprawdę długie i piękne. Krótko mówiąc, można jej za to nie pochwalać, ale trudno się dziwić, że dziewczyna przechwytyjąc zachwycone spojrzenia przedstawicieli brzydszej połowy rodzaju ludzkiego, zwykła przybierać wyraz twarzy, jakby chciała zawołać znudzonym głosem: och, wiem wiem! Tym bardziej trudno mieć za złe Markowi, że leżąc od jakiejś godziny na pomoście, spędził całą tę godzinę nie odrywając oczu od twarzyczki swojej sąsiadki. Ratując resztki męskiej dumy nie wpatrywał się jednak w dziewczynę wprost, tylko chytrze chłonał jej odbicie w rozpościerającym się metr niżej lustrze wody.

– To już może ostatni dzień – powiedziała bez żalu Lidka.

Chłopiec westchnął.

– Może... – mruknął z powątpiewaniem. Natychmiast jednak poweselał. Wakacje przebiegają jak dotąd wspaniale, a czeka ich przecież cudowny lot. – Bogdan będzie się spieszył – dodał.

– Bogdan? – dziewczyna uniosła brwi.

– Od niepamiętnych czasów mówię tacie po imieniu – oświadczył z lekką przechwałą w głosie Marek.

– Od niepamiętnych czasów – powtórzyła Lidka tonem, jakim młody student zwraca się do siwobrodego profesora. Chłopiec zerknął na nią, otworzył usta, następnie zamknął je na powrót, jeszcze raz westchnął i pokornie wrócił do poprzedniego zajęcia.

Leżeli oboje na brzuchach, z głowami wychylenymi za krawędź pomostu. W wodzie jest zawsze tyle ciekawych rzeczy do oglądania. W każdym razie teraz i w każdym razie dla Marka. Myliłby się jednak ktoś, kto by sądził, że Lidka wpatrywała się zupełnie prosto w dół, a nie troszeczkę w bok, na ukos.

Powiew wiatru, który zmarszczył powierzchnię jeziora, umknął w stronę brzegu, porosłego wysokimi sosnami. Woda wygładziła się. Chłopiec przyjął tę zmianę z zadowoleniem. Twarzyczka odbita w wodzie znieruchomiała i nabrała wyrazu. Jego własne oblicze złagodniało i rozjaśniło się błogim światłem.

Szczęście bywa jednak płochę. Raz gotów je zmacić byle wiaterek, kiedy indziej...

Ponad odbiciem dwóch twarzy pojawiła się trzecia. Była to podłużna, jajowata twarz, na której malował się sarkastyczny uśmiešek. Marek drgnął i szybko przewrócił się na bok. Przy tym ruchu uderzył łokciem o deski pomostu i syknął. Dopiero teraz poczuł, że te deski, tak ładnie pachnące smołą i żywicą, są niemiłosiernie twarde.

– Szanowni państwo oddają się obserwacji przyrody – stwierdził dość cienki męski głos, w którym brzmiała nutka pobłażliwej wyższości. – W pewnym wieku to zajęcie godne pochwały...

Marek usiadł, podciągnął kolana, objął je dłońmi i utkwiał ponure spojrzenie w postaci przybyłego. Był to krępy, lecz ani nie za tęgi, ani nie za niski chłopiec o jajowatej, jako się rzekło, głowie i gładko zaczesanych ciemnoblonde włosach. Miał na sobie długie, zielonkawo-szare spodnie i groszkową koszulę z krótkimi rękawami. Przy czekoladowym Marku i ciemnozłotej opaleniznie Lidki wyglądał, jakby właśnie wrócił z półrocznej wyprawy do najgłębszej jaskini Księżycy. Twarz i ramiona miał białe jak mleko.

– Właśnie postanowiliśmy – odezwała się miodowym głosem Lidka, nie odwracając wzroku od wody – że zawsze zostaniemy młodzi. Mam zamiar i za sto lat wyglądać tak jak teraz – dodała z dumą – a nie jak przedwcześnie postarzała glista. Nie znaczy to, żebyśmy przestali rozwijać się umysłowo – zastrzegła się uprzejmie. – Muszę być szczególnie czujna pod tym względem, i to w ciągu najbliższego roku. Mam odstraszący przykład we własnej rodzinie...

– Tak tu cicho... – szybko powiedział pojednawczym tonem Marek.

Blady, czyli Jacek Saperda był bądź co bądź rodzonym bratem Lidki, starszym od swojej siostry i od Marka o rok i kilka miesięcy. Niezależnie od osiągnięcia tak imponującego wieku uważał się za stuprocentowego intelektualistę, co razem wzięte upoważniało go, jego własnym zdaniem, do traktowania bliźnich z wyrozumiałością, z jaką człowiek odnosi się na przykład do sympatycznej, oswojonej małpy.

– Cicho – przytaknął Markowi, zakładając ręce na plecy, w której to pozycji zwykł się przechadzać i prowadzić uczone dysputy. Przeczytał bowiem kiedyś, że dawno temu, w starożytnej Grecji, istniała akademia, która skupiała mędrców hołdujących podobnym obyczajom. – Cicho i spokojnie – dodał uśmiechając się łaskawie. – Trzeba jednak mieć wszechstronną wiedzę, aby nie tylko podziwiać, lecz także rozumieć ten spokój. Jaki jest naprawdę, jeśli się zważy, że wszystko wokół nas pędzi w różnych kierunkach – uniósł głowę i zakreślił brodą regularne kółeczko. – Ziemia krąży wokół Słońca. Słońce porusza się względem najbliższych gwiazd z prędkością dwudziestu kilometrów na sekundę, a wspólnie z nimi osiąga szybkość dwustu sześćdziesięciu kilometrów na sekundę, obiegając centrum Galaktyki. Ta ostatnia z kolei z prędkością dwustu czterdziestu kilometrów na sekundę...

– Mdli mnie – oświadczyła Lidka, zasłaniając sobie jednak nie usta, tylko uszy. – Albo zjadłam coś nieświeżego na śniadanie, albo też widzę czy słyszę coś paskudnego. Jeśli o mnie chodzi, to coś powinno się czym prędzej oddalić z szybkością co najmniej miliona kilometrów na sekundę.

Uśmiech na twarzy Jacka stał się odrobinę szerszy.

– Kobieta – powiedział z zadumą. – Młoda kobieta. Kiedy będę dyrektorem instytutu, zażadam, żeby Wprowadzono do programów szkolnych...

– ...sztukę topienia nudziarzy! – wrzasnęła Lidka, zrywając się z miejsca. Skoczyła w stronę brata, który jednak w ostatniej chwili zdołał umknąć. Nie udało się to natomiast Markowi.

W takiej pozycji, w jakiej siedział, to znaczy z dłońmi splecionymi na kolanach, przetoczył się przez krawędź pomostu i chlupnął w wodę, skrapiając rześzystym deszczem Lidkę i jej brata. Ten ostatni burknął coś i pospiesznie uciekł na brzeg, natomiast dziewczyna zachichotała, zrobiła nagle w tył zwrot, po czym pięknym szczupakiem śmignęła z pomostu, lądując daleko za miejscem, gdzie woda zamknęła się nad Markiem. Blady na wszelki wypadek cofnął się jeszcze o pół kroku.

Chwilę później dwie głowy, bardzo jasna oraz kasztanowa, wychyłyły się na powierzchnię i zbliżyły się do siebie.

– Do drugiego pomostu i z powrotem! – rzuciła Lidka, puszczając się we wskazanym kierunku piękną żabką.

– Dobrze! – odkrzyknął Marek.

Lidka pływała najlepiej w całej szkole. Nic dziwnego więc, że kiedy robiła już nawrót, Markowi pozostało jeszcze do sąsiedniego pomostu dobre pięć metrów. Gdy wreszcie wrócił do punktu startu, dziewczyna stała już na piasku, blisko brzegu i zawzięcie spryskiwała wodą swojego uczonego brata.

– Chodź prędko! – zawołała zdyszana – ma jeszcze suche jedną nogawkę i pół głowy. Zauważyłeś może – ciągnęła nie przestając zawzięcie wymachiwać rękami – że czuje się niezbyt dobrze. Pewnie ma gorączkę – chlust! – nie możemy dopuścić do tego, żeby całkiem zwariował – chlust!

Tym razem Marek nie uszanował ani wieku, ani uczoności Jacka. Zanim ten zdążył się wycofać na bezpieczną odległość, miał już mokrą nie tylko głowę i obie nogawki, ale cały ociekał wodą. Lidka i Marek pracowali jednak nadal bez przerwy do chwili, kiedy dobiegł ich wysoki, a raczej piskliwy głos, dyszący świętym oburzeniem.

– Dosyć, mówię! Przestańcie! Szczeniackie zabawy...

Lidka znieruchomiała. Marek wyprostował się powoli. Na pomoście obok Jacka pojawiła się nowa postać. Była to dziewczyna, w krótkiej, niebieskiej spódniczce i białej bluzce. Ta bluzka i spódnica przedstawiały teraz obraz równie żałosny jak spodnie jajogłowego.

– Och, przepraszam, kochanie! – wykrzyknęła Lidka. – Nie zauważyliśmy, kiedy przyszedł. Powinnaś jednak wiedzieć, że kto znajdzie się w towarzystwie mojego braciszka, temu grożą różne nieprzewidziane przykrości...

– Obawiam się – powiedziała chłodno przypadkowa ofiara leczniczego natrysku, jakiemu został poddany Jacek – że jeśli chodzi o przykrości, to mój brat jest niezastąpiony – tu przeszła strasznym wzrokiem Marka. – Przemawia przeze mnie wieloletnie doświadczenie. Nie powinnaś zbyt często przebywać w jego towarzystwie. Wywiera fatalny wpływ na otoczenie. Teraz na przykład...

– Co teraz? – podchwycił zaczepnie Marek. Wyszedł na brzeg i stanął na wprost swojej starszej siostry, Anny. – Nie trzeba było wychodzić z domu przy takiej pogodzie – ciągnął zjadliwie. – Albo przynajmniej włożyć pelerynę. Upał jak na Merkurym, a ta ubiera się tak, jakby za chwilę miała zdawać egzamin z geometrodynamiki. Phi!

Po tym ostatnim okrzyku nastała chwila ciszy. Chwilowo przynajmniej konflikt rodzinny Lidki i Jacka zszedł na drugi plan. Zanosilo się natomiast na niezłą scenę w wykonaniu rodzeństwa Sponków.

Marek po owym celnym „phi!” umilkł, zmrużył oczy i zmierzył swą siostrę pogardliwym spojrzeniem. Był od niej wyższy bez mała o głowę, toteż malujący się na jego twarzy wyraz męskiej przewagi można było od biedy uznać za miażdżący. Poza tym wyrazem jednak, skądinąd niezmiernie rzadko goszczącym na jego wesołym z natury obliczu, cała postać Marka nie tchnęła złowieszczą siłą starożytnego atlety. Brat Anny był raczej chudy niż szczupły, jego włosy, teraz przylepione mokrymi kosmykami do czoła, były tak jasne że aż niemal białe, miał szeroko rozstawione szaroniebieskie oczy, kapkę zadarty nos i usta, których ani rusz nie chciał się trzymać grymas gniewnej powagi.

Mawia się, że córki są podobne do ojców, a synowie do matek. W rodzinie państwa Sponków rzecz miała się dokładnie na odwrót. Profesor Bogdan Sponka był wyrośniętym nad miarę blondynem, natomiast jego żona Zula, córka Uzbeki wychowanej w Kenii i Kenijczyka, znanego badacza Antarktydy, wyglądała jak bohaterka filmu, nakręconego według „Baśni z tysiąca i jednej nocy”. A Anna była kubek w kubek podobna do matki. Miała czarne, długie i lśniące włosy, grube brwi, zrosnięte u nasady wąskiego zgrabnego noska, ciemny meszek nad górną wargą i pięknie zaokrąglone, smagłe policzki. Choć niższa o głowę od brata, nie była wcale mała. A fakt, że Marek patrzył na nią z góry, najwidoczniej nic dla niej nie znaczył.

– Phi! – odrzuciła drwiący okrzyk jak piłeczkę. – Patrzcie, on już nawet umie wymówić słowo: geometrodynamika! No, no, co za postęp! A jeśli chodzi o egzaminy, to ubieram się na nie tak jak zawsze. Bo ja bywam przygotowana i nie muszę uciekać się do sztuczek...

– Daj spokój – powiedział przez nos Jacek, dolewając oliwy do ognia. – Młodość ma swoje prawa...

– Czy jesteś zupełnie pewien – spytała Lidka, zwracając się z nagłym zainteresowaniem do Marka – że ochłodziliśmy go już dostatecznie? Nie gniewaj się, kochanie – spojrzała ponownie na Annę – powiedziałam przecież: przepraszam... ale naprawdę wyglądacie, jakbyście szli zdawać egzamin... oj!...

To ostatnie „oj” było już aktem kapitulacji. Lidka popatrzyła błagalnie na Annę, ale utrzymanie powagi przekraczało jej możliwości. Dźwięczny dziewczęcy śmiech poniósł się nad cichym jeziorem i wrócił słabym echem, odbity od przeciwległego, wysokiego brzegu. W trzcinach zaskrzeczał gniewnie jakiś ptak.

– Chyba pójdziemy – Jacek odwrócił się z niesmakiem i spojrzał zapraszająco na osobkę ubraną „jak zawsze”. – Minie co najmniej rok, zanim będzie można z nimi rozmawiać...

Akurat o ten jeden rok Jacek był starszy od Lidki, a Anna od Marka. Mimo wspólnoty dojrzałego wieku Anna nie dzieliła jednak ze swoim rówieśnikiem przekonania o własnej bezgranicznej wyższości intelektualnej. Może dlatego serdeczny śmiech Lidki sprawił, że twarz jej się w końcu rozjaśniła.

– Właśnie wyprasowałam bluzkę – poskarżyła się jeszcze, ale już bez gniewu, patrząc z zabawnym ubolewaniem na swoją kreację. – Jak na egzaminie – powtórzyła z urazą, żeby zbyt łatwo nie ustąpić z pola walki. – Kto powiedział, że na biwaku nie można przynajmniej od czasu do czasu wyglądać tak jak na egzaminie... z czego to? – zaśmiała się wreszcie.

Jacek milczał. Uniósł głowę i patrzył w niebo, jakby właśnie ujrzał raketę wypisującą dymem najbardziej zawile równanie geometrodynamiczne.

– Wszystko jedno z czego. Przecież i tak będziesz przygotowana – Marek spojrzał przelotnie na skąpy kostium kąpielowy Lidki, zerknął na własne slipki, po czym, całkiem już udobruchany, dodał: – Dlaczego nie zrzucicie tych wspaniałych szat i nie popływacie trochę? Woda jest wspaniała...

– O tym – zauważyła mimochodem Anna – mieliśmy już okazję się przekonać.

Lidka znowu zaśmiała się głośno. Wyszła na brzeg i usiadła na skraju pomostu. Po chwili Marek zajął miejsce obok niej. Jego stopy poruszały się miarowo, zagarniając wodę jak wiosła.

– Popatrzcie, jakie to jezioro jest błękitne – powiedziała nagle Lidka. Jej wzrok poszybował ku przeciwległemu brzegowi.

– Błękitne jest niebo i tylko ono – oświadczył Jacek. – Reszta to odbicie w wodzie. A niebo jest błękitne, ponieważ w górnych warstwach atmosfery znajduje się dużo wodoru. Zgodnie z teorią fluktuacji gęstości Smoluchowskiego światło ulega rozproszeniu w warunkach bardzo rozrzedzonego gazu, a błękitną składową promieni słonecznych najbardziej rozprasza właśnie wodór...

– Jeśli nie chcecie się kąpać ani iść na spacer, to może my pójdziemy? – zaproponowała uprzejmie Lidka, patrząc na Marka. – Chyba że znudziły ci się już wakacje, i to do tego stopnia, że pod nieobecność profesorów chcesz wysłuchać, jak ten wyblakły robot wyrecytuje z pamięci cały podręcznik. Ja w każdym razie – dodała wstając – mam jeszcze ochotę popływać w tej wspaniałej wodzie...

Niebo nie straciło nic ze swego błękitu, niemniej nad jeziorem znowu jakby pociemniało. Lidka zamiast zgodnie z zapowiedzią skierować się ku wodzie, przeszła kawałek ścieżką wiodącą do obozowiska, przystanęła, spojrzała na Marka, po czym widząc, że ten nie poruszył się, skrzywiła pogardliwie usta.

Nagle tuż obok pomostu coś głośno chlupnęło.

– O, ryba! – ucieszył się szczerze Marek. – Chodźcie, popatrzcie, jaka wielka...

Lidka raczyła zawrócić ze ścieżki. Anna podeszła do skraju pomostu. Tylko Jacek pozostał tam, gdzie stał, na piaszczystym nasypie, dającym oparcie prowizorycznej przystani.

Smukły, ciemny kształt przemknął tuż pod powierzchnią wody. Marek, rad w duchu, że zaszło coś, co odwróciło uwagę obecnych od słów w rodzaju „wyblakły robot”, odprowadził rybę spojrzeniem, po czym powiedział z zadumą:

– Mój pradziadek był wędkarzem. Zabierał mnie czasem na ryby...

– Jak to na ryby? – zdziwiła się Lidka.

– No... – Marek zawahał się przez moment – on je łowił...

– Co to znaczy łowił? Wyciągał je z wody, czy co?...

– Czasy były trochę inne, moja mała siostrzyczko – zaczął z pobłażliwym uśmiechem Jacek, ale tym razem Anna przerwała mu w pół słowa:

– Przestań wygadywać na pradziadka! – zawołała z oburzeniem. – To był wspaniały człowiek! Jeden z pionierów osadnictwa na Merkurym! Zapomniałeś już, jak cię kochał?!

– Ależ ja nic złego...

– Ryba nie może żyć bez wody!

– Młody baran!

– To świństwo!

– Ale ja naprawdę nic złego...

– Przestańcie mówić wszyscy naraz – jajogłowy wreszcie stracił cierpliwość, o czym świadczył jego głos, przypominający dźwięk fujarki, którą ktoś podstawił pod dyszę startującej rakiety. – Marek nie chciał powiedzieć nic złego o swoim pradziadku – ciągnął już bardziej ludzkim tonem – ale moja zacna siostrunia tego nie zrozumie. Trzeba jej wybaczyć – uśmiechnął się porozumiewawczo do Anny, po czym przeniósł spojrzenie na jej brata – jest jeszcze bardzo młoda i naiwna. Jej się zdaje, że ludzie od razu byli bardzo dobrzy, mądrzy i umieli wszystko to co dzisiaj. Fakt, że kiedyś musieli zabijać zwierzęta, żeby utrzymać się przy życiu, nie dotarł jeszcze do jej świadomości. Syntetyczne białko spadło po prostu z nieba... – dodał sarkastycznie. – Ale nie martwcie się o nią – wpadł w ojcowski ton. – Kiedyś zrozumie, że człowiekowi, który chce iść naprzód, poznanie własnej przeszłości jest tak samo potrzebne jak umiejętność pilotażu raketowego...

– Mój braciszek już o tym wie – podchwyciła zjadliwie Anna, zanim Lidka zdążyła ochłonąć z wściekłości. – Pamięta, że pradziadek łowił ryby. Zapytajcie go, to może przypomni sobie także inne rzeczy. Na przykład jak to kiedyś, na satelicie BX-911 ułożył się do snu w zwierciadle baterii słonecznej, a kiedy satelita wynurzył się z cienia zaczął wrzeszczeć: parzy! parzy! parzy! Narobił takiego gwałtu, że przyleciało siedem ekip ratunkowych. A kiedy indziej wszedł tuż przed startem do bezzałogowej rakiety dalekiego zasięgu. Tam przywitał go pokładowy robot. Spotkanie musiało być arcyprzyjemne, bo Mareczek uciekał potem tak szybko, że jeszcze następnego dnia wygrał biegi krótkie na międzyszkolnych zawodach. Świadomość własnej przeszłości to wielka rzecz, pod warunkiem, że człowiek wykorzystuje swoje doświadczenia, żeby iść naprzód, jak powiedział Jacek. Mój brat to potrafi. Nawet nie tylko iść, a biec. On zawsze był ciekawy...

– Ta nieprawda! – wrzasnął ugodzony do żywego Marek. – Zawody wygrałem, bo najlepiej biegam. A prawdziwy badacz musi być ciekawy...

– Prawdziwy badacz nie ucieka z krzykiem, kiedy odkryje coś, z czym się dotąd nie zetknął...

– Ja... ja... ja... – wydyszała z furią Lidka, najwidoczniej bezskutecznie poszukując słów, które unicestwiłyby bez reszty jedyną męską latorośl rodu Saperdów. Latorośl ta natychmiast i z całą bezwzględnością wykorzystała chwilową słabość siostry. Obiektem zainteresowania jajogłowego stała się jednak nie ona, a Marek.

– Ciekawość nie poparta wiedzą, bez tezy roboczej, którą chciałoby się udowodnić, jest zwykłą dziecinadą – stwierdził autorytatywnie Jacek, unosząc w górę wskazujący palec.

– Ty nie jesteś ciekawy? – spytał zaczepnie Marek.

– On zaspokaja swoją ciekawość w zaciszu biblioteki ojca, ewentualnie słucha, co mówią profesorowie.

– Lidka odzyskała wreszcie zdolność mówienia. – Gdyby chciał na przykład wiedzieć, jak teraz wygląda Instytut – uniosła głowę i spojrzała ponad las, w stronę, gdzie jezioro zataczając łuk ginęło za zielonym cyplem – to przez myśl by mu nawet nie przeszło, żeby się tam wybrać. Poszukałby w bibliotece planów, poprosiłby ojca, profesora Sponkę albo samego Kapicę. Może i Adama, ale to niezbyt pewne. On nie schodzi poniżej profesorów...

– Do Instytutu nie poszedłbym rzeczywiście, bo nie wolno – wycedzał przez zęby Jacek. – Jak będziesz starsza, to zrozumiesz może, że prawdziwa odwaga i prawdziwa

ciekawość muszą być podporządkowane dyscyplinie umysłowej. Tak – westchnął, patrząc na Lidkę zatroskanym wzrokiem wytrawnego pedagoga.

– Może zrozumiesz... chociaż to niezbyt pewne – odciął się.

– Skąd ci nagle przyszedł na myśl Instytut? – Anna spojrzała z dezaprobatą na Lidkę, która potrząsnęła główką i zawołała wciąż jeszcze rozzłoszczona:

– Och, nie udawajcie! Od trzech tygodni odkąd tu jesteśmy, wszyscy myślimy o tym opuszczonym poligonie. Tylko nikt nie chce się do tego przyznać...

– Co do mnie... – zaczął przez nos Jacek, ale umilkł. Nawet dla niego prawda przebijająca ze słów jego siostry, była zbyt oczywista.

Marek zmarszczył brwi, po czym zaśmiał się niespodziewanie.

– Ja rzeczywiście nie mogę przestać myśleć o Instytucie – wyznał. – Ale was o to nie posądzałem. Przecież to ja jestem taki ciekawy... – spojrzał wyzywająco na Annę. – Wiecie co – dodał bez zastanowienia – pójdę tam...

– Nonsens! – oburzył się Jacek.

– Ostrzegano nas – powiedziała cicho Lidka, patrząc na Marka szeroko otwartymi orzechowymi oczyma.

– Nie przejmujcie się – rzuciła zdawkowo Anna. – I tak nie pójdzie. To tylko szczeniackie gadanie...

W chłopca wstąpił skrzydlaty demon.

– Szczeniackie gadanie? – powtórzył z furją. – Pięknie. Więc żebyście wiedzieli, pójdę...

– To idź, proszę! – odpaliła bez namysłu Anna. – Chciałabym zobaczyć, jak będziesz zmiatał...

– Aniu – odezwał się z nutką delikatnego wyrzutu Jacek – nie powinnaś tak mówić...

– Dlaczego? – zaperzyła się dziewczyna. – Niech idzie, jak taki dzielny. Przyznaj, że i ciebie korci ten zakazany teren. No to teraz znaleźliśmy kogoś, kto pójdzie i opowie nam, jak tam jest. Jeżeli oczywiście po godzinie nie uraczy nas jakąś bujdą... bo fantazji mu nie brak!

Demon, który wstąpił w Marka, rozpostarł skrzydła.

– Cześć, idę! Zgoda, jestem ciekawy. Potem pogadamy, co warta ciekawość, a co „zdyscyplinowanie” – wysyczał. – A co do bajek, proszę bardzo, kajaki są dwuosobowe. Kto jedzie ze mną?

– Ja! – wyrwała się Lidka.

– Jeszcze czego! – parsknął Jacek.

Marek zmarkotniał.

– Nie – odpowiedział. – Zostaw to starszym i mądrzejszym. Powiedzieliby potem, że oboje zmyślamy. No?

Odpowiedziało milczenie. Chłopiec czekał jeszcze kilka sekund, po czym zaśmiał się tryumfalnie, podbiegł do najbliższego kajaku, wskoczył do niego i jednym uderzeniem wiosła odbił od pomostu.

– Marku! – przestraszył się pierwszy Jacek – wróć! To nie ma sensu! Z powodu kilku słówek...

– Wracaj! – krzyknęła Anna, która teraz dopiero ochłonęła i zrozumiała, że posunęła się za daleko. – Wracaj zaraz! To niebezpieczne!

– Wróć, Marku! – zawołała Lidka. Gdyby dodała „proszę cię”, wówczas... ale co tu rozmyślać, co by było, gdyby. Faktem jest, że to „proszę cię”, jeśli nawet padło, zabrzmiało zbyt cicho. W tym momencie chłopiec wiosłował już jak na zawodach. Dopiero dobre sto metrów od brzegu uniósł wiosło nad głowę, odwrócił się i spojrzał wyzywająco w stronę skupionej na pomoście gromadki.

– Przywiozę wam stamtąd coś takiego, żebyście mi uwierzyli i bez świadków – krzyknął. – Jeśli poza mną nie ma tu nikogo naprawdę ciekawego! Przez litość nie dodam: odważnego!

Wyrzuciwszy to z siebie, na powrót przystąpił ostro do wiosłowania. Po upływie dwóch minut kajak stał się ciemnym punkcikiem na błękitnej wodzie, by zaraz potem zniknąć za cypelkiem.

Cała trójka stała jeszcze w zupełnej ciszy, ze wzrokiem utkwionym w kępie zieleni, za którą zniknął kajak Marka, kiedy na ścieżce prowadzącej ku małej przystani ukazała się nowa para. Była to kobieta z długimi, czarnymi jak sadza włosami i wysoki szatyn. Kobieta miała smagłą cerę, ciemne, wesołe oczy i olśniewająco białe zęby. Poza tym była wręcz zdumiewająco podobna do Anny. Natomiast u mężczyzny uderzała przede wszystkim jego bujna, nieopisanie zwichrzona czupryna. Oboje mieli na sobie stroje kąpielowe.

Ujrzawszy nieruchomą grupkę na pomoście, zatrzymali się. Następnie kobieta, którą, jak łatwo się domysleć, była Zula Sponka, matka Anny i Marka, szepnęła cichutko: „psst” i dotknęła porozumiewawczo ramienia swojego towarzysza. Tym ostatnim był Adam Kapica, młody asystent sławnego Aleksandra Kapicy, zwanego Aleksandrem Wielkim Drugim Nauki, i swojego stryjecznego dziadka w jednej osobie. Prace Adama zdobyły już uznanie matadorów instytutów cybernetycznych, ale kiedy się uśmiechał, wyglądał niemal jak rówieśnik Jacka i Anny.

Właśnie w tej chwili uśmiechem dał znać Zuli, że zrozumiał, o co chodzi. Zaraz potem udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że nie przesiał jeszcze profesorską powagą. Naśladując ruchy filmowego Indianina podkradł się na palcach tak blisko milczącej trójki, że mógł bez trudu dotknąć ręką stojącego nieco z tyłu Jacka i wtedy dopiero wrzasnął ile sił w płucach:

– Trzy, dwa, jeden, start!!!

Zarówno Zula jak i Adam liczyli na efekt swojej, przynajmniej, mało dostojnej psoty, ale nie przypuszczali, że ten efekt okaże się aż tak piorunujący. Jacek zrobił dwa rozpaczliwe susy do przodu, w wyniku czego jego wysychające już nogawki znalazły się z powrotem w wodzie. Lidka wykonała błyskawicznie w tył zwrot, wyrzucając równocześnie w górę ramiona i zastygła w takiej pozycji, jakby miała zamiar pozować do posągu lekkoatletki. Dodajmy, lekkoatletki ogromnie czymś poruszonej, o czym świadczyły szeroko otwarte usta i wytrzeszczone w wyrazie bezgranicznego przerażenia oczy.

Mama Marka szybko podeszła bliżej. W lot pojęła, że popłoch, jakiego byli sprawcami, musi oznaczać coś więcej aniżeli zwykły przestrah spowodowany niespodziewanym okrzykiem. Kiedy Adam otworzył usta, żeby bąknąć „przepraszam” czy coś równie niewczesnego, Zula rozejrzawszy się uważnie, pierwszym strzałem trafiła w dziesiątkę.

– A gdzie jest Marek? – spytała. – Pokłóciliście się?

Pierwszy ochłonął Jacek, który jednak tym razem, czy to ze względu na ogólną sytuację, czy też przez szacunek dla naukowców jako takich, powstrzymał się od wyrażenia swojej opinii o dojrzałości umysłowej młodych, kto wie, czy nie zbyt młodych, asystentów.

– My... – zaczął i urwał. Rozejrzał się z rozpaczą po pozostałych. Wreszcie widząc, że nikt nie śpieszy mu z pomocą, bezradnie rozłożył ręce.

– No więc rzeczywiście... – posunęła się krok dalej Anna. Przełknęła głośno ślinę, po czym oświadczyła z samozaparciem: – Chyba się wygłupiłam...

– To może się zdarzyć każdemu – uspokoiła ją z głębokim przekonaniem mama. – Przed chwilą mieliście dowód... na naszym przykładzie – dodała niezbyt pedagogicznie. – No więc gdzie on jest?

– Marek wziął kajak i popłynął do Instytutu – wypaliła w końcu Lidka. – Powiedział, że coś stamtąd przywiezie i że płynie z ciekawości. Ale tak naprawdę, to sprowokowaliśmy go do tego... wszyscy – zakończyła wielkodusznie.

Mama spoważniała. Obejrzała się na Adama, który sprawiał wrażenie, jakby połknął grudkę soli.

– Do Instytutu? – wykrztusił. – Na drugie jezioro?

– Tak – przyznał ponuro Jacek.

– Na teren opuszczonego poligonu? Nad Jeziorem Tajemnic? – upewniała się Zula.

– Tak.

Jeziorem Tajemnic nazwali mieszkańcy wakacyjnego biwaku dużą, ślepą zatokę, do której droga prowadziła przez wąski przesmyk pod starym drewnianym mostkiem. Nazwa oczywiście wiązała się z zakazanim rejonem przylegającym do jeziora.

– I popłynął sam? – w oczach Adama ukazał się lęk.

– Uhm...

– Nie powinniście byli do tego dopuścić – powiedziała w zamyśleniu Zula. – Wiecie, że tam nie jest bezpiecznie...

– Dlatego teren jest zamknięty – dodał z jeszcze głębszą zadumą Adam. – Dawno odpłynął?

– Jeśli się nie zmęczył, jest już za przesmykiem – odpowiedział przytłumionym głosem Jacek. – Głupio wyszło – dodał jakby do siebie.

– Głupio – przyznał szorstkim tonem Adam. Zmarszczył brwi i utkwiał wzrok w feralnym cyplu, za którym zniknął kajak Marka. Stał tak chwilę, po czym jego spojrzenie prześlizgnęło się po przystani i zatrzymało na przycumowanej do pomostu motolotce.

– Od półtora roku nie było tam nikogo – mruknęła pod nosem Zula. – Profesor Kapica mówił, że teren będzie zamknięty przez najbliższe pięć lat. Dopiero potem zlikwiduje się urządzenia, a gospodarkę obejmie nadleśnictwo. To znaczy jeszcze przez cztery lata każdemu, kto się tam wyprawi, może grozić śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Głupio wyszło – powtórzył zdławionym głosem Jacek. Lidka spojrzała na niego z wyrzutem i zagryzła wargi. Anna wpatrywała się usilnie w koniuszki własnych plażowych pantofli.

2. Człowieku, czym mogę służyć?

Przesmyk pod drewnianym mostkiem był płytki. Marek wszedł do wody i kilka metrów ciągnął kajak po piaszczystym dnie. Następnie wskoczył do środka, odbił się wiosłem i po chwili wypłynął na Jezioro Tajemnic. Na przeciwległym brzegu wśród drzew i krzewów widniały zarysy wielu budowli. Ciężkie sześciennie bryły, szare i posępne, przypominały staroświeckie bunkry pozostałe po dawnych, dawnych wojnach. Dalej majaczyły wśród zieleni kontury jakiegoś niskiego pawilonu, a w głębi wznosiła się okrągła wieża podobna do ogromnego lejka, ustawionego szerokim otwartym ujściem ku górze.

Wiosło Marka zaczęło poruszać się nieco wolniej. Cały teren opuszczonego Instytutu był ogrodzony wysokim płotem. Wzdłuż niego biegła wycięta w puszczy przecinka, na której co kilka metrów stały tabliczki z napisami: „Poligon doświadczalny Instytutu Planet Granicznych. Wejście grozi śmiercią”. Od strony jeziora nie było ogrodzenia, ale tablice ostrzegawcze znajdowały się i tutaj. Przymocowano je do długich tyczek wbitych w piaszczyste dno. Ich jaskrawoczerwone tarcze wyglądały z daleka jak dziwne wodne kwiaty.

Chłopiec odruchowo obejrzał się za siebie. Za przesmykiem, zasłonięte teraz nasypem starej drogi i mostkiem, rozpościerało się pocziwe, swojskie jezioro, nad którym biwakowali już tyle dni. Całe pierwsze trzy tygodnie wakacji. Zaraz pierwszego dnia Adam, który kiedyś

pod okiem profesora Kapicy odbywał tutaj swój pierwszy staż, a potem, po specjalistycznych studiach uzupełniających podjął normalną pracę, powiedział im, żeby nigdy, pod żadnym pozorem, nie przekraczali granic zamkniętego obszaru.

– Dlaczego? – spytała wtedy Lidka z wyrazem buntu w oczach. – Przecież tam już od roku nikogo nie ma!

– Ale pozostały bardzo skomplikowane urządzenia wydzielające szczątkowe promieniowanie. Aparatura pewnego typu długo przechowuje zasoby energii, choćby jej dopływ był już odcięty – tłumaczył cierpliwie Adam. – Instytut przeprowadzał zupełnie nowe doświadczenia przy użyciu bardzo specjalistycznych automatów. Nikt nie potrafi przewidzieć, jak zachowałyby się teraz, gdyby w ich „mózgach” pozostały resztki energii. Tam są takie... no, takie szczególne pola. Nie chcę was straszyć, ale możecie mi wierzyć, że śmiałkowi, który chciałby teraz pospacerować po poligonie, grożą paskudne niespodzianki... a nawet śmierć.

– Nie! – krzyknęła przejęta do głębi Lidka.

Zula i Jacek spojrzeli porozumiewawczo po sobie.

– Trzy... cztery... – zaczął jajogłowy.

– „Lidka-Nie”! – wykrzyknęli chórem mama Marka, Adam i Jacek, wypełniając tym samym, pod nieobecność ojca Lidki i Jacka, rodzinny ceremoniał państwa Saperdów.

– Nie! – zawołała wiedzioną pierwszym odruchem piękność o orzechowych oczach. Zaraz jednak nawet i ona musiała się roześmiać.

– Żarty żartami – rzekł poważniejąc młody Kapica – ale tam naprawdę nie wolno chodzić. Wybraliśmy z Zulą to miejsce na wasz wakacyjny biwak, bo bywaliśmy tutaj... spójrzcie jak pięknie – zrobił szeroki gest ręką, wskazując błękitne jezioro, w którym odbijały się ciemnozielone korony drzew, puszcę, trzciny, polankę ze świeżo ustawionymi trzema namiotami. – Poza tym to miejsce zna także profesor Bogdan Sponka, wasz ojciec – spojrzał na Annę i Marka – więc łatwo mu będzie trafić, kiedy przyleci, żeby nas zabrać na Transplutona. Mimo to poszukalibyśmy innego jeziora, gdybyśmy nie wiedzieli, że możemy wam zaufać. Prawda?...

Mama Marka z powagą skinęła głową.

– Pamiętajcie – powiedziała – że rok temu tylko dlatego przeniesiono poligon na najbardziej odległą planetę Układu Słonecznego, że doświadczenia posunęły się już za daleko... były zbyt niebezpieczne, by nadal przeprowadzać je na naszej starej, zacnej Ziemi.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI